C. C. MacApp

Całe te ziemskie szczątki

(All That Earthly Remains)

`

If, July 1962
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

I

Trochę ciężko oddychając andyjskim powietrzem i ciągle jeszcze oszołomiony szybkością z jaką przerzucono go na południe (korzystając z odrzutowego bombowca), dr Luis Craig szedł po utwardzonej ziemi w stronę potężnie wyglądającego helikoptera, który, jak go właśnie poinformowano, miał ich zabrać w ostatni etap jego podróży. Przysłuchiwał się ze zmęczeniem gładkim słowom eskortującego go porucznika Rabara, noszącego mundur sił lotniczych tego latynoamerykańskiego państwa, i który miał pilotować helikopter.

Za nimi, na krawędzi lądowiska wybuchły jakieś krzyki. Coś furknęło koło jego lewego ucha. Towarzyszący temu odgłos był znajomy, chociaż nie z ostatnich lat: trzask karabinu. Rzucił się na ziemię. Nadleciał kolejny pocisk, ale teraz okrzyki stały się bardziej zorganizowane, były już tylko hiszpańskie. Zatrzaskały pistolety i co najmniej dwie serie z broni maszynowej. Nie było już kolejnych strzałów z karabinu. Ostrożnie uniósł głowę i zobaczył grupę umundurowanych ludzi w miejscu, w którym znajdował się snajper.

Rabar podszedł do niego, podając mu rękę.

— Nic się panu nie stało, panie doktorze?

Craig zignorował wyciągniętą dłoń i wstał o własnych siłach.

— Zupełnie nic, dziękuję panu.

Nabrał niechęci do Rabara już w chwili kiedy zostali sobie przedstawieni; a teraz ciągle miał przed oczyma, że Rabar ostrożnie odsunął się od niego, zanim jeszcze nadleciał pierwszy pocisk.

Starając się iść swobodnie, podszedł do aluminiowej drabinki, zwisającej z boku helikoptera, i wciągnął się na górę. Kiedy znalazł się we włazie, zapomniał o trzymaniu fasonu, zaskoczony różnorodnością ludzi, którzy byli już w środku.

Bezpośrednio po drugiej stronie kabiny, siedział chudy, przypominający stracha na wróble człowiek w czarnej sutannie. Wisząca na jego chudej piersi maska tlenowa, wyglądała jak jakiś napompowany, przerośnięty krucyfiks. Podłużna, śniada twarz księdza, poznaczona była dziobami, skwaszona i w tej chwili niemal zupełnie pozbawiona życia, poza płonącymi czarnymi oczyma, utkwionymi w oczach Craiga. Craigowi przywodził on na myśl kondora, czekającego w pobliżu jakiegoś niemal gotowego do spożycia posiłku. Natychmiast zawstydził się tą myślą.

Przed księdzem, siedział brązowy Indianin. Jego twarz odzwierciedlała pełną godności rezygnację człowieka wiezionego w tym diabelskim urządzeniu na straszliwą śmierć, albo coś jeszcze gorszego.

Jedyne siedzenie od strony włazu zajmował mężczyzna w ciasno dopasowanym mundurze, który zmierzył Craiga chłodnym wzrokiem.

Jako pierwszy odezwał się ksiądz. Miał głęboki, łagodnie brzmiący, mocny głos, pieszczący hiszpańskie sylaby jak wielki miękki dzwon.

— Nie jesteśmy tutaj lubiani, panie doktorze. Próbowaliśmy bardzo mocno… ale ciągle zdarzają się fanatycy.

— Słucham? — spytał Craig. — Ach. No cóż, jestem nietknięty, jak pan widzi.

— Dzięki za to Wszechmogącemu. Proszę przyjąć nasze pokorne przeprosiny. Wyjątkowo dobrze mówi pan po hiszpańsku, panie doktorze.

Zastanawiając się, czy za tym komplementem stało pytanie, Craig wyjaśnił:

— Moja matka była Meksykanką.

Nie uważał, za konieczne dodawać, że dorastał w pobliżu granicy, a kiedyś spędził dwa lata na wymianie, jako profesor fizyki na jednym z meksykańskich uniwersytetów.

Ksiądz skinął głową.

— Rozumiem. Wybór pana był bardzo rozsądnym posunięciem pańskiego rządu. A przybycie tutaj było z pana strony więcej niż uprzejmością. Ale, proszę mi wybaczyć; ta strzelanina spowodowała, że zapomniałem o dobrych manierach. To… — wskazując na człowieka w mundurze — jest pan generał Noriega. — Położył dłoń na ramieniu Indianina. — A ten pan najbardziej preferuje aby nazywano go Dientes.

Craig popatrzył z zainteresowaniem na brązową twarz. Archeologia była jednym z jego hobby, a w tej części świata… „Dientes” znaczyło po hiszpańsku „zęby”, zadumał się. Nagle, pod wpływem jego spojrzenia, nieruchoma twarz Indianina wykrzywiła się w szerokim, nerwowym uśmiechu, ujawniając źródło tego przydomka. Były duże, równe i bardzo białe.

— Natomiast ja — mówił dalej ksiądz — nazywam się Ojciec Brulieres. Proszę, niech pan usiądzie.

Craig sprężył się zaskoczony. Nazwisko Brulieres było bardzo często wymieniane w najnowszych wiadomościach. Ksiądz o tym nazwisku przewodził ruchowi, który wyniósł obecny rząd do władzy – i ciągle miał reputację człowieka, w rzeczywistości za nim stojącego.

Craig uświadomił sobie, że przycupnął niewygodnie w progu, w wejściu do kabiny. Mamrocąc jakieś wyjaśnienia, przeciągnął swoją ogromną górę sprzętu przez właz i zajął puste miejsce koło księdza.

Do środka wszedł Rabar, zamykając za sobą właz i przechodząc na przód kabiny, do fotela pilota. Rozejrzał się po swoich pasażerach.

Craigowi wydawało się, że bardziej był zainteresowany ich twarzami, niż stanem pasów bezpieczeństwa. Rabar zajął się swoimi przyciskami i przełącznikami. Silniki zakaszlały, a następnie zaryczały równym rytmem. Z góry dobiegało narastające „wszszsz” płatów. Pojazd zatrząsł się i uniósł w powietrze.

Od razu przeszli na tlen, a Craig obrzucany spojrzeniami swoich współpasażerów, zadowolony był z tego, że może założyć maskę oddechową zakrywając dolną część twarzy. Naśladując pozostałych, opuścił nauszniki hełmu. Okazało się, że posiada on wbudowane radio, i usłyszał jak Rabar radzi wszystkim aby pozostawili pasy zapięte. Chwilę później, z chrząknięciem, odkrył, że w masce oddechowej wbudowany jest mikrofon. Był zaskoczony, widząc tutaj tak zaawansowane urządzenia elektroniczne.

Szybko otoczyły ich potężne ściany skalne. W dole gwałtownie kotłowała się jakaś rzeka. Wszędzie, gdzie tylko mogła znaleźć oparcie dla korzeni, rozrastała się fantastyczna zieleń, ale niewiele była ona w stanie zrobić, aby choćby trochę złagodzić groźny wygląd skał. Plastikowe okna kabiny dawały wszystkim aż nazbyt wyraźny widok.

Kiedy odwracał się od okna przy którym siedział, Craig stwierdził, że jego wzrok powędrował na znaczek przypięty na szpilce do sutanny księdza. Z elegancko obrobionego złota; był to ten sam emblemat, który zauważył na budynkach, pojazdach i innych rzeczach należących do tutejszego rządu. Wyglądał on jak zestaw słupków bramek futbolowych z końcami zsuniętymi na górze blisko siebie, i sterczącymi na boki poprzeczkami.

Ksiądz pochwycił jego spojrzenie i odpowiedział mu czymś, co w zamierzeniu pewnie było uśmiechem.

— Zastanawia pana nasz emblemat, co? Reprezentuje on Kościół i Państwo, stojące razem – jak brzmi ten zwrot w waszym języku? – „ramię w ramię”.

— Och.

Craig zdał sobie sprawę, że symbol przedstawiał po prostu krzyż, z dwoma poprzeczkami zamiast jednej. Poczuł się nieco zirytowany. Pracownicy jego własnego rządu powiedzieli mu wystarczająco dużo, by chętnie zgodził się na tę pracę, ale ostrzegali go z naciskiem, żeby nie wdawał się w dyskusje na tematy polityczne, ani religijne. Przypuszczał, że Stany Zjednoczone potrzebowały przyjaciół wszędzie tam, gdzie dało ich się znaleźć, ale dyktatura nie była według niego dobrym pomysłem, jako alternatywa dla bolszewizmu.

Zdawał sobie sprawę, że otrzymane ostrzeżenie było zasadne. Nie wiedział jak bardzo bezlitośni mogą być ci ludzie, Ale niedawna strzelanina na lądowisku, to nie była gra w białych rękawiczkach. Jeśli już o to chodzi, cały ten kraj, a przynajmniej na tyle, na ile miał go okazję obejrzeć, sprawiał wrażenie obozu wojskowego.

Postanowił, że właściwą rzeczą będzie skoncentrować się na naukowych powodach wizyty tutaj, a teraz był równie dobry czas na zajęcie się tym, jak każdy inny. Nachylił się w stronę Brulieresa, a potem zdał sobie sprawę, że nie było to konieczne.

— Eee… czy wolno panu powiedzieć mi cokolwiek na temat tego wybuchu?

Brulieres przez chwilę zmierzył go wzrokiem i znowu na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

— Trudno byłoby nam zatajać coś przed panem, panie doktorze. Jest pan ekspertem. Jak wiele panu powiedziano?

— Tylko tyle, że gdzieś tu miała miejsce eksplozja jądrowa, nieznanego pochodzenia. Oznajmiono mi jeszcze, że wydarzyło się w związku z nią coś spektakularnego.

— Spektakularnego? Si! Pański rząd był na tyle uprzejmy, aby przyjąć naszą prośbę o pomoc techniczną, nie domagając się żadnych szczegółów. Bezpieczeństwo, to bardzo trudna kwestia, jak pan zapewne pojmuje. — Brulieres przez chwilę wyglądał na nieobecnego. — Wybuch miał miejsce w miejscu znanym z przedchrześcijańskich legend, dlatego właśnie towarzyszy nam nasz przyjaciel Dientes. On także uznawany jest za experto. — Intensywne spojrzenie skierowało się na Indianina, z cieniem żartu. — Nie to, żeby nie był również dobrym chrześcijaninem.

Indianin przesunął się nerwowo w tą i z powrotem.

— Wybuch — mówił dalej Brulieres, — jak się wydaje, odsłonił jakieś bardzo starożytne tunele. Chcemy je przebadać, ale uznaliśmy że będziemy potrzebować w składzie naszego zespołu fizyka atomowego. Specjalnie dlatego, że pojawiła się możliwość, iż źródłem eksplozji były właśnie tunele.

Craig usłyszał jak Noriega odchrząkuje. Brulieres popatrzył na generała.

— Sugerowano również — dodał ksiądz, — że odsłonięcie tuneli było przypadkowe, a eksplozja ma swoje źródła poza granicami kraju.

Craig przemyślał to, i poczuł irytację.

— To nie wydaje się zbyt prawdopodobne — stwierdził, odrobinę sztywno. — Nikt nie rozrzuca uzbrojonych głowic bojowych gdzie popadnie.

Noriega odezwał się po raz pierwszy.

— Doktorze Craig, może pan mówić za własny kraj; ale inni także posiadają pociski.

Zainterweniował Brulieres.

— Bez wątpienia pan wie, panie doktorze, że komunistyczny pucz niemalże ogarnął ten kraj. Obecny rząd został zmuszony do podjęcia bardzo ostrych środków przeciw kolejnym próbom. Dlatego nie jesteśmy zbyt popularni pośród krajów komunistycznych.

Craig machnął z niecierpliwością ręką.

— Tak, wiem o tym, ale… — Uświadomił sobie, że pozwolił sobie na zbyt wielką beztroskę. — Ja tylko chcę podejść do moich badań z otwartym umysłem. Mówicie panowie, że tunele są starożytne? Inkaskie, może?

Brulieres powoli pokręcił głową.

— Oni raczej nie byliby zdolni zrobić czegoś na tę skalę. Nie można jednak już tego powiedzieć z całą pewnością o tych, którzy poprzedzali Inków w tym miejscu.

Craig zastanowił się i czuł jak puls mu przyśpiesza.

— Ile dowiedzieliście się do tej pory?

— Tyle, ile da się zobaczyć z powietrza. Będziemy pierwszymi, którzy tam wylądują, jeżeli uzna pan, że jest to bezpieczne.

II

Wznosili się razem z kanionem, aż w wyższych partiach jego ścian zaczęły pokazywać się spłachcie śniegu. Ponad nimi wznosiły się kompletnie białe zbocza. Z wysiłkiem wzbijali się coraz wyżej i w końcu wylecieli ponad pole śniegowe, świecące w słońcu jaskrawą bielą; postrzępione skałami wierzchołki gór rzucały na śnieg niebieskie cienie. Cień helikoptera w dole tańczył pomiędzy nimi, jak jakiś szalony komar.

Skierowali się na skupisko pięciu lub sześciu wierzchołków, dominujących nad wszystkimi pozostałymi. Dientes, kręcący się nerwowo w swoim fotelu, mruczał pod nosem coś o „puesto de los demonios". Przelecieli między dwoma ze szczytów i znaleźli się w niecce tworzonej przez z grubsza koliste skupisko.

Strefa zero wybuchu była równie wyraźnie widoczna, jak paskudna czarna plama na białym materiale. Na prostokątnym obszarze wewnętrznego zbocza jednego ze szczytów, śnieg został zupełnie wytopiony, pozostawiając gołą skałę. Craig wpatrywał się w odsłonięty teren. Płaskowyż wycięty w zboczu góry był taki równy i miał tak idealnie owalny kształt, że nie było nawet chwili wątpliwości, że miał on sztuczny charakter. Wznosząca się nad nim ściana, była idealnie pionowa, dopasowana dokładnie do krzywizny elipsy. Ściana pogrążona była w cieniu, ale Craig mógł dostrzec pięć czarnych tuneli, wszystkie miały jednakowy kształt i były równo rozmieszczone.

Wypuścił oddech z chrząknięciem, kiedy przypomniał sobie, że to jest strefa eksplozji, a oni się do niej zbliżali. Pośpiesznie zdjął osłonę z jednego z przyrządów, zesztywniałymi z emocji palcami. Obserwował jego tarczę. Jak na razie żadnego poważnego promieniowania. Rabar patrzył na niego, skinął więc w jego stronę głową, aby wskazać mu, że mogli podlecieć bliżej.

Promieniowanie odrobinę narastało, ale ciągle było łagodne. Zastanawiał się. Wybuch musiał być bardzo czysty i o niskiej mocy, skoro stopił śnieg, nie zadrapując nawet skał. Najwidoczniej nastąpił niezbyt wysoko nad powierzchnią i ponad środkiem płaskowyżu. Nie znał żadnej współczesnej głowicy, która pasowałaby do tej eksplozji. Nie był w stanie również uwierzyć w to, że zarówno celowe działanie jak i przypadek mogłyby umiejscowić wybuch tak dokładnie.

Helikopter wisiał teraz na stałej wysokości, pozostali pasażerowie obserwowali go w milczeniu. Napotkał wzrok Rabara i umknął nieswojo spojrzeniem w bok. Jeśli oczy księdza przypominały mu sępie, to Rabara przywodziły na myśl wilka. Miały dziwne, żółtawe zabarwienie, i były jednocześnie czujne oraz pozbawione ekspresji. Craig nie potrafił określić, w jaki sposób wpasować tego człowieka w całość sytuacji, ale nie wyglądał on na zwykłego pilota.

Craigowi nie trzeba było rysować tego wszystkiego czarno na białym, przynajmniej jeśli chodziło o jego status. Przede wszystkim, mogła go zabić opozycja, tylko dlatego, żeby postawić rząd w złym świetle. Z drugiej strony, gdyby stanął na drodze planom Noriegi zbicia kapitału politycznego na tym wybuchu, oraz gdyby Noriega reprezentował silną frakcję w rządzie, to frakcja ta mogłaby pomyśleć, że warto byłoby pozwolić aby coś mu się stało, i zrzucić za to winę na komunistów.

Ale najgorętszym pasztetem z tego wszystkiego, mogło okazać się to, co zostanie znalezione na miejscu eksplozji. Potrafił sobie wyobrazić tu całe mnóstwo najróżniejszych, najbardziej fantastycznych rzeczy. Podobnie jak i inni, a niektórzy z nich mogli posunąć się bardzo daleko, żeby się tego dowiedzieć.

Wiszący na końcu liny przyrząd, nie pokazywał jakiegoś strasznie wysokiego poziomu promieniowania, tak więc Craig oznajmił, że mogą wylądować.

Kiedy stał na płaskowyżu, otwory tuneli wyglądały jak koncentrujące się na nim czarne ślepia. Pomimo tego, korciło go do ich zbadania. Niecierpliwie wyładował i złożył na stosie swój sprzęt.

Kiedy rozładunek został zakończony cała grupa stanęła na chwilę, ewidentnie wszyscy podzielali poczucie obawy, jakie przepełniało Craiga. Dientes pierwszy przerwał milczenie, mamrocząc coś pod nosem.

Brulieres zmierzył Indianina spojrzeniem, które nie do końca można było uznać za surowe.

— Modlitwy chrześcijańskie, hijo, jeśli będziesz taki miły. — Zwrócił się do Craiga. — Czego można się dowiedzieć z tego miejsca, w którym stoimy?

— Powinienem być w stanie określić typ eksplozji. Będę musiał pobrać próbki skał i rozstawić nieco aparatury.

— Ile czasu będzie to wymagało?

— Przy odrobinie szczęścia, mniej niż godzinę.

Brulieres myślał przez chwilę.

— W takim razie, wydaje mi się, że powinniśmy rozpocząć rekonesans tuneli, kiedy pan będzie pracował. Ale najpierw posłuchajmy naszego eksperta od demonologii.

Dientes wił się w swym górskim ubraniu, z poczuciem winy na twarzy.

— Wiem tylko to, co mówią stare opowieści, Padre.

— Opowiedz nam je więc, proszę. Potem zdecydujemy, czy jesteś winien paganismo.

— Si, Padre. To miejsce jest domem Ognistych Diabłów. Nie ma co do tego wątpliwości. Wygląda tutaj dokładnie tak, jak mi opisano kiedy byłem małym chłopcem, siedzącym u stóp los viejos.

— A więc, dobrze. Jakiego rodzaju diabły tutaj były?

— Ogniste stworzenia, Padre, takie że nie można było na nie spojrzeć, żeby nie zostać oślepionym. Jaśniejsze niż słońce.

— Czy one prowadziły wojnę z twoim ludem?

— Ci, którzy zbliżali się do tego miejsca, byli karani ognistymi włóczniami. Mówiono, że w dawnych czasach, widziano często te diabelskie stworzenia jak latały po niebie, pozostawiając za sobą długie ogony białych piór. Czasami odwiedzały one wioski, domagając się dziwnych rzeczy i strasząc ludzi.

— Czy opowieści wspominają o tych tunelach?

— Nie, Padre. Ogniste Diabły żyły pod śniegiem. Widziano jak znikały, wnikając w niego.

— Nie roztapiały go?

— Być może potrafiły tłumić swoje ognie. W każdym bądź razie, Padre, kto wie do czego są zdolne demony?

— **W**idzę, że potrzebujesz i z pewnością będziesz musiał wysłuchać wielu godzin ściśle chrześcijańskich nauk. Jak to jest możliwe, że ci ludzie wrócili stąd, aby opowiadać te wszystkie rewelacje, skoro goniły za nimi diabły z ognistymi włóczniami?

— Niektórzy uciekli.

— Czy na pewno opowiadali o konkretnych osobach, które zostały zabite?

Dientes popatrzył z zamyśleniem, ale również rozczarowaniem.

— Nie przypominam sobie nazwiska nikogo, kto zostałby zabity.

— No, tak. Dlaczego nie było podobnych doniesień w ostatnich latach?

Dientes wzruszył ramionami.

— Quien sabe? Może nadejście prawdziwej wiary odpędziło diabły.

— Może — stwierdził Brulieres, kąciki jego ust lekko się uniosły. Odwrócił się w stronę tuneli. — Myślę, panie generale, że poproszę pana i pana porucznika, abyście zbadali kawałek drogi w jednym z tych tuneli. Wycofajcie się z niego natychmiast, jeśli zobaczycie cokolwiek, co mogłoby być niebezpieczne.

Craig już otworzył usta, żeby zaprotestować, ale zdusił słowa. Aż go skręcało, żeby pójść do jednego z tuneli, ale nie od niego to zależało. Obserwował jak dwóch mężczyzn w mundurach znika we wnętrzu tunelu. Światła ich latarek szybko się skryły za jakimś zakrętem korytarza w skale.

Brulieres powiedział do Dienesa.

— Doktor i ja musimy wziąć parę próbek skał. Czy byłbyś taki miły i został tutaj, popilnować helikopter? — Położył rękę na ramieniu Indianina. — Widzę, że niewygodnie ci w tym hełmie. Możesz go zdjąć, jeśli chcesz. Zawołamy cię, gdybyś był nam potrzebny.

Craig zrozumiał, że Brulieres chciał porozmawiać z nim sam na sam. Poszedł razem z księdzem. Indianin przysiadł, najwidoczniej czując się dobrze bez swojego aparatu tlenowego.

— Jest przyzwyczajony do dużych wysokości — zauważył Brulieres. — Pan i ja z trudem byśmy tutaj utrzymywali się przy świadomości. Chciałem z panem porozmawiać, panie doktorze.

— O czym, Padre? — Craig poczuł się trochę niezręcznie, używając tego tytułu.

— O pewnych rzeczach w naszym kraju, które panu się nie podobają.

Craig zawahał się.

— Ja… jestem tutaj na misji naukowej.

— Tym niemniej ma pan także pewne poglądy na polu politycznym? Mam nadzieję, że możemy być wobec siebie szczerzy.

— No cóż… Nie chciałbym nikogo krytykować. Jak pan wie, my… to jest w Stanach Zjednoczonych istnieje rozdział Kościoła od państwa.

Kąciki warg Brulieresa zadrżały.

— Prawdopodobnie chodzi panu o to, że nie rozumie pan jak Kościół może wspierać totalitarne rządy. Och, proszę nie protestować; fakty są oczywiste. Określano nas znacznie gorszymi słowami, niż „totalitarny". Nie wydaje się panu słuszne, żeby Kościół sięgał po prawdziwą broń.

— Ja… tak. Jeśli już zechciał pan to tak określić. Mamy odmienne pojęcie na temat religii.

Ksiądz skinął powoli głową.

— Si. Pewnego razu odwiedziłem pański kraj. W pewnym sensie, zazdrościłem mieszkającym w nim księżom. Tutaj, mamy znacznie więcej do zrobienia niż chrzczenie tłustych bobasów i wysłuchiwanie błahych grzechów wynikających z pożądania. Jesteśmy na linii frontu.

Craig sztywno zapytał:

— Chodzi panu o front wojny duchowej, czy ideologicznej?

Tym razem Brulieres niemalże się uśmiechnął.

— Czy jest pan taki pewny, że to nie jest ta sama wojna?

Niech to diabli, pomyślał Craig, powinienem wiedzieć, że lepiej nie wdawać się w dyskusję z księdzem. Nie odpowiadał przez dłuższą chwilę.

Brulieres delikatnie dorzucił:

— Proszę mi wybaczyć, jeśli mówię zbyt bezpośrednio. Nie wierzy pan w to, że Zło jest realną siłą?

Craig nie mógł spojrzeć w jego przenikliwe oczy. Stare wątpliwości wtargnęły w jego myśli: A co jeśli to on ma rację, a ja się mylę? Co jeśli jakaś istota Boska istnieje? Odepchnął te myśli od siebie, mówiąc sobie jak zawsze, że to tylko indoktrynacja którą przeszedł zanim jeszcze zaczął samodzielnie myśleć. Odparł:

— Jestem naukowcem, Padre.

— Ale nie ateistą, chyba że źle pana oceniłem?

— Określiłbym siebie agnostykiem, gdybym już musiał sobie przylepić jakąś etykietkę. Przyjmuję możliwość istnienia jakiejś siły stojącej za życiem i umysłem. Nie wierzę w Boga, jako starca z brodą. Ani nie wierzę w Diabła z kopytami i rogami.

Brulieres ponownie skinął głową

— Nie jesteśmy tak daleko od siebie, jak mógłby pan przypuszczać, panie doktorze. Jeśli o mnie chodzi, to zawsze uważałem, że ktoś kto rości pretensje do wiary doskonałej, bez śladu wątpliwości, jest albo idiotą albo

kłamcą. Bóg z pewnością miał jakieś powody, aby nie usuwać wszystkich niedomówień. W każdym razie, chciałbym panu w jasny sposób określić swoje stanowisko. Nie byłem szczęśliwy, że musiałem wziąć w dłoń taką broń, jaka była pod ręką. Gdybym miał jakikolwiek wybór, wybrałbym coś zupełnie innego. — Przez chwilę zmierzył Craiga bezpośrednim spojrzeniem. — Ta wojna jest dla mnie czymś bardzo realnym i oczywistym, panie doktorze. Zrobiłem to, co musiałem. Mam nadzieję, że pan w to wierzy.

Sceptyczny rozum Craiga podpowiadał mu, że to była tylko gra o dobrą prasę, kiedy Craig wróci do domu.

Jego emocje, jednak nie poszły tą drogą. Krzyczały z całej siły, że patrzy na szczerego człowieka.

III

Pierwsze testy, potwierdziły to, co Craig przewidywał już wcześniej; że eksplozja była absolutnie czysta. Całe istniejące promieniowanie pochodziło z cząsteczek samej skały oraz oparów śniegu.

Nie było sposobu na określenie typu wybuchu; wiedział tylko, że masa została przekształcona naprawdę w stu procentach w energię, w bardzo krótkim okresie czasu. Żaden znany Craigowi proces nie mógłby nawet zbliżyć się do takich efektów.

Znowu popatrzył na otwory tuneli. Teraz był już pewien, że coś musiało się z nich wydostać, wzniosło się na wysokość około siedmiuset stóp ponad płaskowyżem i spowodowało wybuch. Zadrżał z chęci wejścia do środka, niezależnie od niebezpieczeństwa.

Odwrócił się niecierpliwie do Brulieresa, kiedy gdzieś w głębi tuneli, zerwały się jakieś krzyki. Zabrzmiały głuchym echem dwa strzały pistoletowe. Rozległ się tupot biegnących nóg. Craig stwierdził, że jego prawa ręka szuka czegoś na biodrze i poczuł się głupio. Nie nosił broni u pasa, od czasów Korei.

Porucznik Rabar wypadł z tunelu, potykając się w świetle dnia, z wykrzywioną twarzą. Przemknął prosto przez płaskowyż i przerzucił się przez jego krawędź. Dientes, który poderwał się na nogi, był tylko krok za nim. Craig, ze spojrzeniem utkwionym w tunel, mgliście zdał sobie sprawę, że musieli wylądować w głębokim śniegu, ponieważ nie było słychać żadnych odgłosów ich upadku.

W tunelu pojawiło się światło. Craig walczył z ogarniającą go paniką; stał w miejscu, będąc świadom znajdującego się obok niego Brulieresa. Światło pojaśniało.

Jego źródło stało się widoczne – kula oślepiającego blasku, owalna i mniej więcej rozmiarów ludzkiego torsu. Wyłoniła się na światło dzienne i Craig stwierdził, że była ona zbudowana ze materii stałej. Wyglądała jak rozżarzony metal, ale jakoś czuł, że nie była ona gorąca. Wydawała się poruszać tam gdzie chciała i unosić się bez żadnej podpory.

Zachowywała się jak żywa.

Przesunęła się trochę w stronę Craiga i Brulieresa, a następnie zatrzymała. Wydobyło się z niej jakieś badawcze dudnienie, brzmiące zupełnie jak początek grzmotu. Uniosła coś podobnego do macki, trzymając w niej przedmiot przypominający latarkę. Z przedmiotu strzelił oślepiający strumień gorąca i uderzył w skałę, kilka jardów przed dwójką ludzi. Skała wydała odgłos jak blok lodu przyciśnięty do gorącego pieca. W górę uniosła się chmura dymu. Promień działał jedynie przez chwilę, ale pozostawił w skale długą, zakrzywioną szramę.

Potem stwór zadudnił ponownie i rozbłysnął tak jaskrawo, że Craig wyrzucił rękę do góry zasłaniając oczy i usłyszał swój głos wydający jakiś nieartykułowany okrzyk. Nogi spięły mu się do ucieczki, ale coś w zachowaniu stwora zatrzymało go tam gdzie stał. Jego prześladowca wydawał się być jakiś niepewny swoich działań, i nie wyglądał na naprawdę groźnego.

Kiedy uniósł znowu wzrok, stwór poruszał się w bok i w górę po skalnej ścianie. Dostrzegł leżący na ziemi podobny do latarki przedmiot, w miejscu gdzie stwór musiał go upuścić.

Owalny stwór, już nie świecący, zmierzał szybko w stronę wierzchołka góry. Jak stwierdził Craig, rzeczywiście był on metalowy, pozbawiony śladu brudu czy też rdzy, ale zmatowiały ze starości. Zauważył również dwie postrzępione dziury, w pobliżu jego środka. Wytężył wzrok, żeby dostrzec więcej szczegółów, ale stwór coraz bardziej kurczył się w oddali. Nie widział żadnych złączeń, ani wystających elementów, poza tą jedną macką. Zgubił go w cieniach górskiego zbocza, potem jeszcze zobaczył jak rozbłyska na chwilę w słońcu, w miejscu gdzie ściana zakrzywiała do góry.

Po chwili odwrócił się oszołomiony w stronę Brulieresa. Ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, spoza góry strzelił rozbłysk przyćmiewającego słońce światła. Ziemia zatańczyła. Dźwięk, odbijając się echem po okolicznych szczytach i przebijając się przez grubą warstwę skały góry, uderzył wokół nich, jak monstrualne karzące skrzydła.

Kiedy grzmot rozproszył się w oddali, Craig, mrużąc oczy, zobaczył smukły, szybko ciemniejący obłok w kształcie grzyba, wznoszący się ponad wierzchołkiem góry. Cofnął się mimowolnie, ale wiedział, że to jest kolejny czysty wybuch. Większość chmury stanowiła para. Pewien był, że oglądają powtórkę eksplozji, która oczyściła ten płaskowyż.

Jego umysł zadziałał według prostego schematu: stwór został zniszczony; upuścił swoją broń.

Ruszył w kierunku wejścia do tunelu, ale zbyt długo się zastanawiał. Brulieres, poruszający się nadspodziewanie zwinnie, był tam przed nim.

Ksiądz podniósł broń i skierował ją w stronę Craiga. Craig, ciągle oszołomiony, zastanawiał się tępo w jakimś odległym stanie umysłu: czy on ma zamiar mnie zabić; chętnie bym zabrał tę broń do domu, do laboratoriów; a więc w taki sposób utrzymuje ciepło. (To ostatnie w

odniesieniu do ciepłej bielizny, którą dostrzegł przez chwilę pod sutanną księdza, kiedy padre schylił się.)

Ale głos Brulieresa brzmiał łagodnie.

— Proszę mi wybaczyć, ale ja to przejmuję, panie doktorze. Później, mam nadzieję, że będzie pan mógł to zbadać; ale najpierw muszę myśleć o sprawach, za które ja odpowiadam.

Przyjrzał się krótko trzymanej rzeczy, zaczął ją chować w jakimś zakamarku swej szaty, a potem się zawahał. Tak jakby nie był w stanie oprzeć się pokusie, wycelował w kierunku skalnej ściany, i przycisnął coś kciukiem.

Trysnął strumień światła. Skała jęknęła i poddała się w chmurze dymu. Brulieres natychmiast wyłączył trzymaną broń i odwrócił się do Craiga, z wyrazem na wpół winy, na wpół zachwytu na twarzy, jak dzieciak złapany z zakazaną zabawką. Potem westchnął i odłożył przedmiot.

Craig starał się dostrzec wszystkie szczegóły, jakie mógł. Przedmiot miał cal, może odrobinę więcej średnicy, i jakieś dziesięć cali długości. Wszędzie poza jednym końcem był metalowy i najwidoczniej pokarbowany, żeby dawać dobry chwyt. Końcówka wyglądała jakby była zrobiona z kwarcu, czy też jakiegoś innego kryształu, przezroczystego poza samym zakończeniem, które było ciemno prześwitujące, kiedy nie emitowało promienia. Spust, jak się zdawało, był zaznaczonym innym kolorem miejscem na obudowie, które można było nacisnąć kciukiem.

Craig pomyślał o energii przechowywanej w tym smukłym cylindrze, niezbędnej izolacji, sprawności systemu jaki został użyty do kierowania i kontroli promienia. Potem inna uderzyła go inna myśl i popatrzył z rozszerzonymi oczyma na Brulieresa:

— Miecz ognisty!

Brulieres obrzucił go szybkim spojrzeniem i skinął głową.

— Prymitywni ludzie mogliby to tak opisać.

Rabar przeciągnął się z powrotem przez krawędź płaskowyżu, wyglądając blado jak śmierć. W chwilę później głowę wystawił Dientes.

— Gdzie jest generał? — dopytywał się Brulieres.

— Muerto — odparł Rabar drżącym głosem — w tunelu. To stworzenie go zabiło.

Twarz księdza wykrzywiła się.

— Kto do niego strzelał?

— Generał, Padre. Tylko on miał broń.

Brulieres westchnął.

— A więc, to dlatego zginął. Stworzenie by go nie skrzywdziło.

Craig uważał dokładnie tak samo. Stworzenie użyło broni bardziej jako bluffu, i ewidentnie oddaliło się poza górę, żeby umrzeć. Zastanawiał się, czy to te dwie dziury po pociskach je zabiły.

Ale ile jeszcze takich stworzeń (czy też maszyn) czekało na nich w tunelach?

Popatrzył na Brulieresa.

— Wchodzimy do środka?

— Oczywiście. Chyba że coś nas zatrzyma. — Ksiądz wyglądał na zamyślonego. — One mogą wychodzić z hibernacji, czy czegoś takiego. Potrafi pan określić, jak stary jest ten płaskowyż?

— Nie bez przekazania próbek do laboratorium geologicznego. Może nawet wtedy, niezbyt dokładnie. Ale powiedziałbym, że ma parę tysięcy lat.

Rabar nie był szczęśliwy z powodu konieczności ponownego wejścia do tunelu, ale zacisnął zęby i poszedł. Craig stanął z boku, pozwalając by porucznik ruszył przed nim. Rabar zawahał się, a potem przeszedł koło niego. Dientes przeżegnał się, mrucząc coś pod nosem. Ewidentnie wolał pójść razem z nimi, niż zostać sam na zewnątrz. Podążył za Craigiem.

Brulieres omiótł ściany tunelu światłem swojej latarki, ujawniając znajdujący się przed nimi zakręt. Skręcili. Po pokonaniu niewielkiej odległości, Craigowi wydało się, że latarka zaczyna przygasać. Wtedy zdał sobie sprawę z tego, że tunel ma własne oświetlenie; sklepiony w łuk sufit jarzył się. Światło stawało się coraz jaśniejsze i Brulieres wyłączył niesioną latarkę.

— Ewidentnie — stwierdził — jesteśmy oczekiwani. Czy zwrócił pan uwagę na powietrze?

Craig nie zwrócił, ale teraz od razu się zorientował; było ciepłe, a jego ciśnienie było wyższe niż na zewnątrz.

— Chwileczkę — powiedział, zaintrygowany.

Wrócił do wejścia tunelu. Kiedy wychodził na zewnątrz poczuł łagodny opór, jakby jakaś siła wpychała go z powrotem do tunelu. Wszedł ponownie i poczuł promieniujące z sufitu ciepło. Dołączył do pozostałych.

Podłoga tunelu na chwilę łagodnie wykrzywiła się ku górze, następnie wyrównała, a potem skręciła w dół. Ściany były pionowe i idealnie równe, miały gładki, szklisty wygląd. Sufit zakrzywiał się od ściany do ściany, w doskonałym łuku. Było wystarczająco dużo miejsca, by dwu ludzi mogło iść obok siebie, odrobinę stłoczonych. Craig szedł tuż za Dientesem.

Wkrótce zdjął maskę tlenową i oddychał normalnie. Chętnie też ściągnąłby z siebie kurtkę, ale w jej kieszeniach było zbyt wiele rzeczy, które mogłyby wypaść.

Odliczył sto siedem kroków, kiedy tunel ponownie skręcił. Zaraz za zakrętem znaleźli ciało Noriegi.

Tunel w tym miejscu się rozgałęział; albo przynajmniej z każdej jego strony odchodził w bok i w górę węższy tunel. Te tunele były ciemne, i jak sprawdził Craig, zimne, oraz panowało w nich niższe ciśnienie powietrza. Ich wejść pilnowała ta sama delikatna siła powstrzymująca. Generał leżał rozciągnięty na podłodze tuż za wejściem, w prawym korytarzu. Jego głowa i tors skryte były w cieniu. Wyglądał jakby po prostu, spokojnie sobie umarł.

— Użyczy mi pan swojej ręki, panie poruczniku? — spytał Brulieres. We dwóch wyciągnęli Noriegę w oświetlone miejsce.

Craig nie widział u niego nigdzie żadnych oparzeń, ani innego rodzaju ran, poza otarciem na jednym z policzków, które mogło być skutkiem upadku. Miał już zamiar wypytać Rabara dokładnie, co tu się wydarzyło, ale powstrzymał się. Lepiej nie okazywać zbytniej podejrzliwości.

Zastanawiał się, co się stało z pistoletem generała, i zaczął się rozglądać w jego poszukiwaniu. Ale znowu Brulieres był szybszy do niego. Ksiądz wszedł jakieś osiemnaście, dwadzieścia jardów głębiej w tunel, i coś podniósł z podłogi. Był to pistolet. Powędrował do zakamarków księżowskiego płaszcza, podobnie jak broń energetyczna.

Craig obserwował Rabara i wydało mu się, że mężczyzna wygląda na zmieszanego. A co, z taką teorią: Rabar zabił Noriegę, zabrał jego pistolet i ruszył tunelem. Może po prostu sam dla siebie chciał się dowiedzieć, co znajdowało się w środku góry, albo może planował zamordować resztę grupy i spowodować, że będzie to wyglądało jak wypadek. Napotkał świecące stworzenie, spanikował, władował w nie dwie kule, a potem rzucił broń i uciekł.

Craig zastanawiał się, czy ksiądz podziela jego wątpliwości, co do Rabara; ale jeśli tak, to w ogóle tego nie okazywał. Kapłan już ruszył w dalszą drogę.

Craig stracił rachubę kroków, ale oceniał ze pokonali jedną czwartą mili, kiedy tunel wykonał ostatni skręt w prawą stronę i doprowadził ich do wielkiej komory o wysokim kopulastym sklepieniu.

IV

Natychmiast wszelkie pytania co do natury tego miejsca, zniknęły. To mogła być tylko baza wojskowa.

W broni jest coś co pozwala ją natychmiast rozpoznać, zadumał się Craig, nieważne jak bardzo obca by ona nie była. Tutaj, zgromadzone były wielkie pojazdy bojowe, najeżone wystającymi kuzynami rury energetycznej, niesionej przez Brulieresa, oraz miriadami innych groźnie wyglądających kształtów. Ziejące dokoła czarne tunele, prowadziły pod różnym kątem na zewnątrz – pewnie, pomyślał Craig, do ukrytych wyjść. Wszędzie stały porozstawiane maszyny naprawcze, niektóre z nich nad częściowo ukończoną pracą. Były wyłączone i sprawiały wrażenie długo nieużywanych. Niemal na wszystkich tych niszczycielach powietrznych (Craig był pewien, że do tego służyły) widać było straszliwe rany.

Grupa ludzi rozglądała się po komorze, z milczącym respektem.

W jednym miejscu, pod trójką okrągłych tuneli celujących ostro w górę, znajdowało się coś, co Craig uznał za główny teren startowy, z rampami ładunkowymi na… co? Ślady i śmieci pokazywały wyraźnie, gdzie spoczywały wielkie statki, oraz że ich odlot był pośpieszny. Craig złapał głęboki, drżący oddech i wyobraził sobie olbrzymie obce arki, wzbijające się na skrzydłach swej tajemniczej mocy.

Widział chciwość w oczach Rabara i niby przypadkowo podszedł bliżej do porucznika. Nie miał zamiaru pozwolić na to, by ten człowiek pokonał siłą Brulieresa i zabrał broń, nie miał zamiaru pozwolić mu zabrać niczego, co mogłoby gdzieś tutaj leżeć. Nie to, żeby Brulieres był nieostrożny. Craig zauważył, że utrzymuje on bezpieczną odległość od wszystkich pozostałych i nie odwraca się do nich na dłużej plecami.

Musieli już tak gapić się na maszyny obcych przez dłuższą chwilę, kiedy w komorze odbił się echem głęboki głos księdza.

— Chodźmy, czeka na nas kolejny tunel.

Craig popatrzył we wskazane przez kapłana miejsce. Zobaczył tunel, podobny do tego, który niedawno opuścili, mniej więcej na jednej czwartej obwodu komory. Jaśniał światłem. Wszystkie pozostałe były ciemne.

Popatrzył ponownie na Brulieresa i przeraziła go twarz tego człowieka. Miała w sobie wyraz chwały. Craig zadrżał. Przecież, pomyślał sobie, temu człowiekowi wydaje się, że Bóg zaaranżował to wszystko specjalnie dla niego.

Najwidoczniej jednak, ktoś to wszystko zaaranżował, chyba że tunele i ich oświetlenie były kompletnie zrobotyzowane. Craig, ignorując ostrze paniki, które przeszywało jego duszę, ruszył za księdzem w kierunku wejścia do oświetlonego tunelu.

Był on krótki, z dwoma zakrętami (prawdopodobnie, pomyślał sobie Craig, służyły one do ograniczania rozmiarów eksplozji). Doprowadził ich do mniejszej komory, z niższym sklepieniem, stanowiącej najwyraźniej miejsce spotkań dla żołnierzy, czy też salę jadalną. Ciemne otwory prowadziły z niej do pomieszczeń pełniących funkcje sal koszarowych. Na przeciwległym jej końcu, znowu pojedynczy tunel jaśniał światłem.

Weszli do niego, ponownie był bardzo krótki, i stwierdzili, że naprawdę musieli się znajdować w kwaterach mieszkalnych. Te tutaj, jeśli można było zastosować odpowiednie analogie, należały do oficerów. Doszli do niewielkiej sali zebrań, w której na jednej ze ścian znajdowały się obrazy.

Oświetlenie w sali było tak rozmieszczone, że światło padało w większej części na tę stronę sali. Przed namalowaniem murali skała została wygładzona. Już pierwszy rzut oka na obrazy tak mocno wstrząsnął Craigiem, że podszedł mechanicznie do ściany, na chwilę zapominając o swoich towarzyszach.

Część jego umysłu, podziwiała zastosowaną technikę. Kształty na dolnym reliefie byłe wycięte w skale, szczegóły delikatnie wycyzelowane, a kolory uzyskane najwyraźniej poprzez zmianę składu chemicznego samej skały. Co do stylu, było to coś pomiędzy realizmem i impresjonizmem. Craig nie był ekspertem, ale wdawało mu się, że ręka była pewniejsza, a punkt widzenia artysty bardziej docierał do odbiorcy, niż w jakimkolwiek innym obrazie, który kiedykolwiek widział. Leciutkie dotknięcie obcości, tylko zwiększało urok dzieła.

Niezależnie od tego, jakiego rodzaju istotami byli obcy, nie byli rasą pozbawioną uczuć. Emocje wręcz biły z każdej namalowanej kreski.

Pierwszych kilka obrazów opowiadało skrótowo o utworzeniu na Ziemi tego posterunku, jego porażce i opuszczeniu. Pokazywały one jakieś heroiczne sceny, ale Craig przebiegł po nich tylko pośpiesznie wzrokiem, przechodząc do następnej serii rysunków, które mimowolnie przyciągnęły jego wzrok.

Miały biblijny styl i były tak oszałamiająco znajome, jak gdyby oglądał je wielokrotnie przez całe swoje dotychczasowe życie.

Uczucie to wywróciło jego wnętrzności na lewą stronę.

Jednym z pierwszych uwiecznionych był Noe, czy ktokolwiek był rzeczywistym bohaterem pierwotnej wersji opowieści o Potopie. Obraz morza i wiszących nad nim czarnych chmur zagłady, był tak realistyczny że Craig aż cofnął się o krok. Masy ogromnych jak góry fal, chłostane były przez niewiarygodnie silny deszcz, pokrywając się białą pianą. Pośród nich widać było drewniany statek, mocno przechylony, z zalanymi przez kotłującą wodę pokładami, drobina wobec ogromu morza. Parę na wpół utopionych zwierząt domowych, przywiązanych w swoich zagrodach, spoglądało ze strachem. Brodaty człowiek, który stał na szeroko rozstawionych gigantycznych nogach, z mocno zaciśniętymi palcami na wyrywającym mu się ze wszystkich sił kole sterowym, był przemoczony, ale na tyle zdecydowany i silny, aby stawić czoła morzu. Do jego boku przywarła kobieta. Została namalowana nie jako delikatna i wiotka, ale silna i piękna, z uderzającą mocą oddając szaleńczą pasję artysty.

Dalej widać było przejście przez Morze Czerwone, obraz wyraźnie pokazywał jak jakaś siła rozsunęła wody na boki. Artystę ewidentnie zafascynowało ciągle wilgotne dno morza.

Było tego więcej, ale Craig pominął je, przyciągany jak ryba na haku do malowidła przedstawiającego człowieka na krzyżu. Jego ciało było znacznie bardziej okrutnie umęczone, niż zarejestrowała to Biblia, skręcone w agonii przemawiającej do całego jestestwa Craiga. Twarz wykrzywiona w bólu, obwisła z wyczerpania, udręczone miękkie brązowe oczy, bez śladu goryczy, czy oskarżenia.

Oskarżeniem był sam obraz. Gorycz oraz furia (i wyrzuty sumienia?) pochodziły od malarza.

Craig, wystraszony i nieszczęśliwy, popatrzył na pozostałych. Dientes okazywał jedynie strach i pokorę. Rabar trzymał się na wodzy, ale w jego oczach przebijała groza. Brulieres dygotał od przepełniających go emocji, jego twarz odzwierciedlała cześć, chwałę, troskę i wątpliwości. Napotkał spojrzenie Craiga. Piskliwym i chrapliwym od ekscytacji głosem zapytał:

— Czy zauważył pan – to?

Stał przed pionową płytą z chropawego kamienia, która posłużyła do zamknięcia tunelu. Zapora była przymocowana przy pomocy stopionej skały, trochę niestarannie, wokół krawędzi łączenia pozostał nierówny garb. Cała praca sugerowała pośpiech. Wnętrzności Craiga wykręcały się na samą myśl o tym, co mogło znajdować się za tą płytą.

Opanował się. Podszedł i stanął koło księdza. Potrafił rozpoznać tylko kilka ze znaków z wypalonej na płycie inskrypcji. Jakby z oddali usłyszał swój głos, zadający pytanie:

— Czy… potrafi ksiądz czytać po hebrajsku?

Brulieres wypuścił drżący oddech.

— Z ledwością.

Przysunął się trochę bliżej do płyty, położył palce na napisie, jak ślepiec próbujący wyczuć znaki alfabetu Braille'a. Craig dostrzegł, że jego oczy są pełne łez. Cienkie wargi mamrotały coś niesłyszalnie.

Po dłuższym czasie, Brulieres skończył czytać i stał koło płyty, nieruchomo. Potem zaczął mówić. Jego głos był teraz pozbawiony życia, cichy, niedbale monotonny.

— Uczeni pewnie przetłumaczą to lepiej, ale to jest sedno:

DO POTOMKÓW TYCH, W KTÓRYCH PRZEZNACZENIE PRZEZ KRÓTKI CZAS INGEROWAŁEM: SKORO TO CZYTACIE, ROZWÓJ TECHNOLOGICZNY WASZEGO GATUNKU OSIĄGNĄŁ POZIOM, DZIĘKI KTÓREMU BĘDZIECIE W STANIE SKORZYSTAĆ Z POZOSTAWIONYCH TUTAJ URZĄDZEŃ. POZA NIMI, POZOSTAWIAM WAM SWOJE NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA, PRZEPROSINY I WYRAZY MOJEJ MIŁOŚCI.

KIEDY CZŁONKOWIE MOJEJ RASY OPUŚCILI TO MIEJSCE, UKRYŁEM SIĘ PRZED NIMI I ZOSTAŁEM TUTAJ, PONIEWAŻ POKOCHAŁEM WASZĄ PLANETĘ I WASZĄ RASĘ. PRÓBOWAŁEM WAM POMÓC. NIE JESTEM PEWIEN, CZY DOBRZE ZROBIŁEM.

SPÓJRZCIE NA MOJE SZCZĄTKI, JEŚLI ZECHCECIE.

Craig pochwycił duchownego za rękę, słowa wylewały mu się z ust strumieniem.

— Padre, to niczego nie dowodzi! Bóg ciągle jeszcze może istnieć.

Stwierdził, że zabrzmiało to strasznie desperacko.

Ksiądz odwrócił się, popatrzył na niego, wyglądając na lekko rozbawionego.

— Nawrócenie? Teraz? Jest pan znacznie szczęśliwszym człowiekiem, niż ja.

— Nie, Padre! Pańska praca! Religia to coś głębszego, niż…

Oczy Brulieresa rozbłysły częścią ich dawnej witalności.

— Moja praca? Oto jest Bóg, w imieniu którego knułem i nawet, niech mi Niebiosa wybaczą, zabijałem.

Powoli, mechanicznie, Brulieres wyciągnął ze swej szaty pistolet energetyczny. Wycelował go w ciągnący się wokół płyty garb i nacisnął spust. Skała zapiszczała i zaczęła spływać w strużkach przypominających stopiony wosk. Craiga zakręcił w nozdrza cierpki dym.

Kiedy płyta była już w wycięta na większości obwodu, poddała się jakaś uszczelka wewnątrz i powietrze głośno zasyczało, wpadając w powstałą szczelinę. Z głuchym trzaskiem płyta się oderwała. Przechyliła się, pod działaniem jakiejś własnej wewnętrznej siły i opuściła się na podłogę.

Światła, świecące ostro i dramatyczne, rozbłysły jednocześnie w całym znajdującym się za płytą niewielkim pomieszczeniu. Było ono puste, poza kamienną platformą na podłodze i tym co na niej spoczywało.

Craig mechanicznie wszedł do środka i odsunął się na bok, żeby zrobić miejsce innym. Brulieres przeszedł na przeciwległą stronę platformy, zaś Dientes przystanął koło niego. Rabar stał niepewnie w wejściu.

Stworzenie było większe niż człowiek, i niepodobne do niczego innego na ziemi; miało wiele członków, zbudowane było jakby do życia w silniejszej grawitacji. Nie było po nim widać żadnego śladu rozkładu, ani zasuszenia. Atmosfera w komorze została ewidentnie dobrana tak, aby ciało zachowało się w doskonałym stanie.

W pomieszczeniu ciągle wisiał ostry, na wpół nieprzyjemny zapach, szybko wyciągany przez kanały w suficie. W obcym ciele można było rozpoznać coś w rodzaju oblicza i parę zamkniętych oczu. Twarz w widoczny sposób była silna. Stworzenie można by nazwać brzydkim, ale Craig stwierdził w nim także pewną dozę przystojności. Widać było wyraźnie dramatyzm, z którym zaaranżowano ciało, i jakoś dzięki tej niewielkiej dozie próżności, pokochał to stworzenie jeszcze bardziej.

Dientes chwycił za szatę duchownego.

— To jest kłamstwo, Padre! — A kiedy ksiądz milczał, Dientes skierował zdesperowane spojrzenie na Craiga. — Matko Boża! Czy nikt nie powie, że to jest kłamstwo?

Craig czuł się emocjonalnie wyczerpany. W jego wnętrzu pozostał tylko szalony żal i pustka, w miejsce czegoś co umarło. Ale zimny rozum pozostał. Jeśli nie ma Boga, pomyślał, to jesteśmy tylko inteligentnymi zwierzętami, i możemy żyć zgodnie z naszymi własnymi życzeniami. Jeśli nie ma Boga, to Diabła również nie ma.

Zadumał się nad tą kwestią… i stwierdził z ponurym rozbawieniem, że Diabła, to było aż nadto.

A, w każdym razie, istniały potrzeby i pragnienia, przyjaciele i wrogowie. Obszedł szybko postument z ciałem obcego i wyjął broń energetyczną z bezwładnych palców księdza. Odwrócił się w stronę Robara, który był (ponad wszelką sensowną wątpliwość) wrogiem, i który stał w wejściu z irytującą drwiną w oczach. Oczywiście, on był szczęśliwy, pomyślał Craig; jest bolszewickim agentem i ateistą. Teraz pozostanie już cholernie mało religii, na całym świecie.

Uniósł spokojnie broń, czując napięcie każdego nerwu i mięśnia, jak gotowe do akcji zwierzę. Obserwował jak tryumf w oczach Rabara rozpływa się i znika. A kiedy jego kciuk przesunął się bez wahania na spust, obserwował jak narasta w nich strach.

KONIEC